

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**ANTONI CZECHOW**

# **POJEDYNEK**

Tłumaczyła Natalia Gałczyńska

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## I

Była godzina ósma rano – pora, gdy oficerowie, urzędnicy i przyjezdni po gorącej, dusznej nocy zazwyczaj kapali się w morzu, a potem szli do pawilonu na kawę czy herbatę. Iwan Andrieicz Łajewski, młody szczupły blondyn lat dwudziestu ośmiu, w mundurowej czapce i w rannych pantoflach, przyszedł się kąpać i na brzegu zobaczył sporo znajomych, a wśród nich swojego przyjaciela, lekarza wojskowego Samojlenkę.

Ten Samojlenko, człowiek tęgi, otyły, czerwony, niemal bez szyi, z dużą ostrzyżoną głową i wielkim nochem, z gąszczem czarnych brwi i siwymi bokobrodami, a na dobitkę z chrypiącym żołnierskim basem, sprawiał na każdym nowo przybyłym nieprzyjemne wrażenie prostaka i zrzędy, ale już po paru dniach znajomości jego twarz wydawała się niezwykle dobra, miła i nawet ładna. Mimo niedźwiedziowej postaci i szorstkiego tonu był to człowiek spokojny, niezmiernie dobry, pogodny i uczynny. Ze wszystkimi w mieście był na „ty”, wszystkim pożyczał pieniądze, wszystkich leczył, swatał, godził; urządzał wycieczki, na których smażył szaszłyki i gotował bardzo smaczną zupę z głowaczy; ciągle komuś pomagał i coś załatwiał, ciągle się z czegoś cieszył. Będąc według powszechnej opinii człowiekiem bez skazy, miał tylko dwie słabostki: po pierwsze, wstydził się własnej dobroci i starał się ją maskować surowym spojrzeniem i udaną szorstkością, po drugie, lubił, żeby felczerzy i żołnierze tytułowali go ekscelencją, jakkolwiek był tylko radcą stanu.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, Aleksandrze Dawidyczu – zaczął Łajewski, kiedy razem z Samojlenką zanurzył się w wodzie aż po ramiona. – Dajmy na to, zakochałeś się w jakiejś kobiecie i żyjesz z nią; przeżyłeś z nią, powiedzmy, dwa lata z górą, a potem, jak to się nieraz zdarza, zobojętniałeś i czujesz, że to obcy człowiek. Co byś zrobił w takim wypadku?

– Wiadomo co! Idź sobie, dobrodziejko, gdzie cię oczy poniosą, i sprawa załatwiona.

– Łatwo powiedzieć! A jeżeli ona nie ma dokąd iść? To kobieta samotna, bez rodziny, bez grosza przy duszy, pracować nie umie...

– No to co? Pięćset jednorazowo albo dwadzieścia pięć miesięcznie – i po krzyku. Prosta sprawa.

– Dajmy na to, że cię stać i na pięćset, i na dwadzieścia pięć miesięcznie, ale kobieta, o której mówię jest inteligentna i dumna. Czyżbyś się ośmielił zaproponować jej pieniądze? W jakiej formie?

Samojlenko chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie wielka fala przewaliła się im nad głową, potem uderzyła o brzeg i rozlała się z łoskotem po drobnych kamykach. Obaj przyjaciele wyszli z wody i zaczęli się ubierać.

– Oczywiście, że niełatwo żyć z kobietą, skoro się nie kocha – powiedział Samojlenko wytrząsając piasek z buta. – Ale należy postępować po ludzku, Wania. Gdyby to mnie dotyczyło, aniby się nie zdradził, że już nie kocham, tylko żyłbym z nią aż do śmierci.

Nagle jednak zawstydził się tego, co powiedział, zaraz wycofał się:

– Zresztą dla mnie baby mogą w ogóle nie istnieć. Do diabła z nimi!

Obaj przyjaciele ubrali się i poszli do pawilonu. Tu Samojlenko czuł się jak u siebie w domu, nawet miał oddzielne naczynia na własny użytek. Każdego rana podawano mu na tacy filiżankę kawy, wodę z lodem w wysmukłej rżniętej szklance i kieliszek koniaku; naprzód wypijał koniak, potem gorącą kawę, potem wodę z lodem, i to musiało mu bardzo smakować, bo po wypiciu jego oczy nabierały oleistego blasku, przyglądał obu rękami swoje bokobrody i mówił patrząc na morze:

– Niezwykle piękny widok!

Po długiej nocy, spędzonej na niewesołych i bezpłodnych i rozmyślaniach, które odpędzały sen i jakby jeszcze zgęszczały duszną ciemność nocy, Łajewski czuł się zmęczony i senny. Kąpiel i czarna kawa niewiele mu pomogły.

– Wróćmy do naszej rozmowy, Aleksandrze Dawidyczu – powiedział. – Nie będę nic przed tobą ukrywał, powiem szczerze jako przyjacielowi: stosunki z Nadeżdą Fiodorowną układają się źle, bardzo źle! Wybacz, że cię wtajemniczam w moje sprawy, ale muszę się wypowiedzieć.

Samojlenko przeczuwając, o czym będzie mowa, opuścił oczy i zabębnił palcami po stole.

– Przeżyliśmy z sobą dwa lata i przestałem ją kochać... – ciągnął Łajewski – a właściwie zrozumiałem, że miłości w ogóle nie było. Te dwa lata to było oszukiwanie samego siebie.

Łajewski, prowadząc rozmowę, miał zwyczaj oglądania swoich różowych dłoni, gryzienia paznokci i miętoszenia mankietów. Teraz też robił to samo.

– Ja przecież wiem, że nie jesteś w stanie mi pomóc – powiedział – ale muszę o tym mówić, bo dla takiego jak ja pechowca i niepotrzebnego człowieka jedyny ratunek to rozmowa. Muszę uogólniać każdy mój czyn, muszę szukać wytłumaczenia i usprawiedliwienia dla mojego nieudanego życia w cudzych teoriach, w postaciach z literatury, w tym, na przykład, że my, szlachta, ulegamy degeneracji i tak dalej... Ubiegłej nocy, na przykład, pocieszałem się w ten sposób, że wciąż myślałem: ach, jaką Tołstoj ma rację, okrutną rację! I przez to było mi lżej. No bo rzeczywiście, bracie, to wielki pisarz! Co tu mówić.

Samojlenko, który zupełnie nie znał Tołstoja i każdego dnia zamierzał go przeczytać, powiedział zmieszany:

– Tak, wszyscy pisarze czerpią z wyobraźni, a on wprost z natury.

– Boże – westchnął Łajewski – do jakiego stopnia jesteśmy wypaczeni przez cywilizację. Pokochałem kobietę zamezną, ona mnie również... Z początku były pocałunki i ciche wieczory, i przysięgi, i Spencer, i ideały, i wspólne zainteresowania... Cóż za kłamstwo! Właściwie uciekliśmy od męża, ale okłamywaliśmy się, że uciekamy przed pustką naszego inteligentnego życia. Przyszłość wyobrażaliśmy sobie tak: na Kaukazie z samego początku, zanim zapoznamy się z miejscowością i ludźmi, włożę mundur i będą pracował w urzędzie, a z czasem kupimy sobie kawałek ziemi gdzieś za miastem, zaczniemy pracować w pocie czoła, założymy winnicę, będziemy uprawiać pole i tak dalej. Gdybyś to ty był na moim miejscu albo ten twój zoolog von Koren, przeżylibyście chyba z Nadeżdą Fiodorowną co najmniej trzydzieści lat, a potomstwu pozostawilibyście w spadku piękną winnicę i tysiąc dziesięcin kukuzydzy, ja natomiast od pierwszego dnia czułem się jak bankrut. W mieście nieznośny upał, nuda, pustka, wyjdiesz na pole – tu zdaje się, że pod każdym krzakiem i kamieniem czyhają jadowite falangi, skorpiony, żmije, a za polem już tylko góry i pustynie. Obcy ludzie, obca przyroda, nędzna kultura – to nie tak łatwo, bracie, jak spacerować w futrze po Newskim z Nadeżdą Fiodorowną pod rączkę i marzyć o ciepłych krajach. Tu potrzebna walka na śmierć i życie, a czyż ja jestem bojownik? Nędzny neurastenik, paniczek... Od pierwszego dnia zrozumiałem, że moje marzenia o pracowitym życiu, o winnicy psu na budę się nie zdadzą. Co do miłości, to mogę cię zapewnić, że pożycie z kobietą, która czytała Spencera i poszła za tobą na kraj świata, jest równie nieciekawe, jak z pierwszą lepszą Akuliną czy Anfiwą. Ten sam zapach żelazka, pudru i lekarstw, te same papiloty z rana, to samo oszukiwanie samego siebie...

– W gospodarstwie nie da rady bez żelazka – powiedział Samojlenko czerwieniejąc ze wstydu, że Łajewski mówi tak otwarcie o znanej doktorowi osobie. – Jesteś dziś nie w humorze, Wania, widzę to... Nadeżdza Fiodorowna to kobieta szlachetna, wykształcona, ty jesteś człowiekiem o niepospolitym umyśle... Że życie bez ślubu – ciągnął Samojlenko oglądając się na sąsiednie stoliki – to przecież nie wasza wina, a ponadto... trzeba wyzbyć się przesądów

i stanąć na poziomie współczesnych idei. Ja sam jestem za ślubem cywilnym, tak... Ale uważam, że skoroście się połączyli, to należy żyć razem aż do śmierci.

– Bez miłości?

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę – powiedział Samojlenko. – Z osiem lat temu mieszkał tu u nas jeden pośrednik, już staruszek, człowiek o niepospolitym umyśle. Więc on nieraz mówił: w życiu małżeńskim najważniejsza rzecz to cierpliwość. Słyszysz, Wania? Nie miłość, lecz cierpliwość. Miłość nie może trwać długo. Dwa lata żyłeś w miłości, a teraz widocznie twoje małżeńskie życie weszło w ten okres, kiedy dla zachowania, że tak powiem, równowagi powinieneś wykazać jak największą cierpliwość.

– Ty wierzysz w dobrą radę staruszka pośrednika, a dla mnie to jakaś brednia. Twój staruszek mógł zachowywać się obłudnie, mógł ćwiczyć swoją cierpliwość, a nie kochaną osobę traktować jak przedmiot niezbędny do ćwiczeń, ale ja jeszcze tak nisko nie upadłem; jeżeli będę miał ochotę na ćwiczenie cierpliwości, to kupię sobie albo ciężary gimnastyczne, albo narowistego konia, ale człowieka zostawię w spokoju.

Samojlenko zażądał białego wina z lodem. Kiedy obaj przyjaciele wypili po szklance, Łajewski nagle zapytał:

– Powiedz mi, co to znaczy rozmiękczenie mózgu?

– Jak by ci to wytłumaczyć... to taka choroba, przy której mózg staje się miększy... jakby się rozrzedzał.

– Czy to uleczalne?

– Owszem, o ile choroba nie jest zaniedbana. Zimne natryski, plaster... No i coś do wewnątrz.

– Aha... Więc rozumiesz moją sytuację? Nie mogę żyć z tą kobietą, to ponad moje siły. Kiedy jestem z tobą, to i filozofuję, i uśmiecham się, ale w domu zupełnie się rozklejam. Przerazenie mnie ogarnia, bo gdyby, dajmy na to, zapowiedziano mi, że muszę z nią jeszcze przeżyć choćby tylko miesiąc, to ja chyba kulę w łeb bym sobie wpakował. A równocześnie nie mogę z nią zerwać. Jest samotna, nie umie pracować, żadne z nas nie ma pieniędzy... dokąd pójdzie? Do kogo się zwróci? Nic tu nie wymyślisz... doradz więc: co robić?

– Taak... – mruknął Samojlenko nie znajdując odpowiedzi. – Ona cię kocha?

– Owszem, kocha o tyle, o ile jej w tym wieku i przy tym temperamencie potrzebny jest mężczyzna. Byłoby jej równie trudno skończyć ze mną, jak z pudrem czy papilotami. Jestem dla niej jednym z niezbędnych składników jej buduaru.

Samojlenko zawstydział się.

– Tyś nie w humorze, Wania – powiedział. – Pewnie jesteś niewyspany.

– Tak, źle spałem... W ogóle czuję się kiepsko, bracie. W głowie pustka, serce zamiera, jakaś dziwna słabość... Trzeba uciekać!

– Dokąd?

– Tam, na północ. Między sosny i grzyby, do ludzi, do idei... Oddałbym pół życia, żeby móc teraz w moskiewskiej czy w tulskiej guberni wykąpać się w rzeczce, rozumiesz, zziębnąć trochę, a potem łaźać parę godzin choćby z byle jakim studenciną i gadać, gadać... Jak tam pachnie sianem! Pamiętasz? A wieczorami, kiedy chodzisz po ogrodzie, z domu dolatują dźwięki fortepianu, słyszeć, jak jedzie pociąg...

Łajewski roześmiał się z radością, w oczach zakręciły mu się łzy, więc żeby je ukryć, sięgnął do sąsiedniego stolika po zapalki.

– A ja już od osiemnastu lat nie byłem w Rosji – powiedział Samojlenko. – Zapomniałem, jak tam jest. Moim zdaniem nie ma kraju tak wspaniałego jak Kaukaz.

– Przypomniał mi się obraz Wereszczagina: na dnie potwornie głębokiej studni męczą się skazani na śmierć. Otóż właśnie taką studnię przypomina mi twój wspaniały Kaukaz. Gdyby kazano mi wybierać jedno z dwojga: być kominiarzem w Petersburgu czy księciem tutaj, wybrałbym kominiarza.

Łajewski zamyślił się. Patrząc na jego pochylone ciało, na oczy utkwione w jeden punkt, na bladą spoconą twarz i zapadłe skronie, na ogryzione paznokcie i na pantofel, który zsunął się z pięty i odsłonił nieudolnie zacerowaną skarpetkę, Samojlenko poczuł litość i może dlatego, że Łajewski przypomniał mu bezradne dziecko, zapytał:

– Czy twoja matka żyje?

– Tak, ale stosunki są zerwane. Nie mogła mi darować tego romansu.

Samojlenko lubił swojego przyjaciela. Uważał go za poczciwego chłopca, studenta, brata-łate, z którym można i popić, i pośmiać się, i pogadać od serca. To, co w nim rozumiał, właściwie mu się bardzo nie podobało. Łajewski pił dużo i nie w porę, grał w karty, gardził swoją pracą, żył ponad stan, często używał nieprzyzwoitych wyrazów, wychodził na ulicę w rannych pantoflach, kłócił się z Nadięzdą Fiodorową przy obcych – i to się Samojlence nie podobało. A że Łajewski był kiedyś na fakultecie filologicznym, że prenumerował teraz dwa grube periodyki, mówił często tak mądrze, że tylko nieliczni go rozumieli, i żył z kobietą inteligentną – tego wszystkiego Samojlenko nie rozumiał, ale to mu się podobało, stawiał więc Łajewskiego wyżej od siebie i szanował go.

– Jeszcze jeden szczegół – powiedział Łajewski potrząsając głową. – Ale niech to zostanie między nami. Na razie ukrywam to przed Nadięzdą Fiodorową, więc nie wygadaj się... Przedwczoraj otrzymałem wiadomość, że jej mąż zmarł na rozmiękczenie mózgu.

– Wieczne odpoczywanie... – westchnął Samojlenko. – Ale dlaczego to przed nią ukrywasz?

– Gdybym pokazał jej list, to by oznaczało: teraz do cerkwi i ślub! A przecież najpierw trzeba wyjaśnić nasze stosunki. Kiedy ona sama się przekona, że nie możemy dalej żyć ze sobą, wtenczas pokażę jej list. Wtenczas to niczym nie będzie groziło.

– Wiesz, Wania - powiedział nagle Samojlenko z żalnym, błagalnym wyrazem twarzy, jak gdyby chciał poprosić o coś wyjątkowo smacznego i bał się, żeby mu nie odmówiono. – Ożeń się, kochanie!

– Po co?

– Spełnij swój obowiązek wobec tej szlachetnej kobiety. Jej mąż zmarł, a więc sama opatrność wskazuje ci, co masz uczynić.

– Ależ zrozum, dziwaku jeden, że to niemożliwe. Ożenić się bez miłości jest rzeczą tak samo podłą i niegodną człowieka, jak odprawiać mszę bez wiary w Boga.

– Ale ty musisz!

– Dlaczego musisz? – zapytał Łajewski z irytacją.

– Boś ją zabrał mężowi i jesteś za nią odpowiedzialny.

– Mówię ci przecież wyraźnie: ja jej nie kocham!

– No to nie kochaj, ale szanuj, czcisz...

– Szanuj, czcisz... – przedrzeźniał go Łajewski. – jakby to była przeorysza... Kiepski z ciebie psycholog i fizjolog, jeżeli sądzisz, że żyjąc z kobietą można jechać na samym szacunku i czci. Kobiecie jest przede wszystkim potrzebne łóżko.

– Wania, Wania... – zawstydził się Samojlenko.

– Jesteś stare dziecko i teoretyk, a ja młody starzec i praktyk, więc nigdy się nie zrozumimy. Lepiej dajmy temu spokój. Mustafu! – zawołał Łajewski do kelnera. Ile się od nas należy?

– Nie, nie... - przeraził się doktor chwytając Łajewskiego za rękę. – To ja płacę. Ja zama-  
wiałem. Zapisz na mnie! – zawołał do Mustafy.

Obaj przyjaciele wstali i w milczeniu poszli nadbrzeżem. U wejścia na bulwar zatrzymali się i uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

– Wy wszyscy jesteście strasznie rozpieszczeni – westchnął Samojlenko. – Los ci zesłał kobietę młodą, ładną, wykształconą, a ty jej nie chcesz, ja natomiast, gdyby mi Bóg dał choć

pokraczną staruszkę, aby tylko dobrą, i czułą, już byłbym szczęśliwy. Mieszkałbym z nią w swojej winnicy i...

Samojlenko natychmiast zawstydział się własnej szczerości i dodał:

– I niech mi tam stara wiedźma samowar nastawia.

Pożegnawszy Łajewskiego ruszył przed siebie bulwarem. Gdy tak kroczył, wypinając pierś przyozdobioną Włodzimierzem z kokardą, masywny, dostoyny, z surowym wyrazem twarzy, w śnieżnobiałym kitlu i znakomicie wypucowanych butach, niewątpliwie w tym momencie bardzo się sam sobie podobał, a nawet zdawało mu się, że cały świat patrzy na niego z upodobaniem. Nie odwracając głowy rozglądał się na wszystkie strony i uważał, że bulwar prezentuje się całkiem dobrze, że młode cyprysy, eukaliptusy i brzydkie cherlawe palmy są bardzo piękne i z czasem dadzą dużo cienia, że Czerkiesi to naród prawy i gościnnie. „Dziwne, że Łajewski nie lubi Kaukazu – myślał – bardzo dziwne”. W drodze spotkał pięciu żołnierzy z karabinami, wszyscy zaszalutowali. Z prawej strony bulwaru przeszła chodnikiem żona znajomego urzędnika z synem gimnazystą.

– Dzień dobry, Mario Konstantinowno - zawołał do niej Samojlenko, mile uśmiechając się.

– Pani wraca z kąpieli? Cha-cha-cha... Ukłony dla Nikodima Aleksandrycza!

I poszedł dalej zachowując ten sam miły uśmiech, ale zauważywszy idącego naprzeciw felczera wojskowego, zmarszczył brwi, zatrzymał go i zapytał:

– Czy jest ktoś w szpitalu?

– Nie ma nikogo, ekscelencjo.

– Co?

– Nie ma nikogo, ekscelencjo.

– Dobrze, idź...

Kołysząc się majestatycznie podszedł do budki z lemoniadą, gdzie siedziała stara piersiasta Żydówka, podająca się za Gruzinkę, i powiedział do niej tak głośno, jakby wydawał komendę przed pułkiem:

– Poproszę panią uprzejmie o wodę sodową!

## II

U Łajewskiego brak miłości do Nadieżdy Fiodorowny wyrażał się przeważnie w tym, że wszystko, cokolwiek mówiła i czyniła, sprawiało na nim wrażenie fałszu lub czegoś zbliżonego do fałszu, a wszystko, co zostało napisane przeciwko kobiecie i miłości, wydawało mu się jak najbardziej dopasowane do sytuacji ich trojga; jego, Nadieżdy Fiodorowny i jej męża. Kiedy wszedł do domu, ona – już ubrana i uczesana – siedziała przy oknie i z zatroskaną miną piła kawę przeglądając gruby zeszyt jakiegoś czasopisma, a jemu zaraz przyszło do głowy, że picie kawy nie jest wydarzeniem aż tak niezwykłym, by robić zatroskaną minę, i że modna fryzura jest niepotrzebną stratą czasu, bo tu i tak podobać się nie ma komu, i nie ma po co. W czytaniu czasopisma również dostrzegł jakiś fałsz. Pomyślał, że ona po to stroi się i czesze, żeby uchodzić za ładną, a czyta – by uchodzić za mądrą.

– Sądziś, że mogę pójść dzisiaj do kąpieli? – zapytała Nadieżda Fiodorowna.

– Cóż! Pójdziesz czy nie pójdziesz, od tego chyba trzęsienia ziemi nie będzie.

– Nie, ja dlatego pytam, że może doktor będzie miał pretensję.

– Zapytaj więc doktora. Nie jestem doktorem.

Tym razem Łajewskiemu najbardziej nie podobała się w Nadieżdzie Fiodorownie jej biała odstonięta szyja i loczki na karku; przypomniał sobie, że Annę Kareninę, gdy przestała kochać męża, najbardziej raziły jego uszy, i zaraz pomyślał: „Jakie to prawdziwe! Jakież prawdziwe!” – Czując słabość i pustkę w głowie, wszedł do gabinetu, położył się na kanapie i przykrył twarz chustką, żeby muchy nie dokuczały. Gnuśne, powolne myśli wciąż o tym sa-



mym snuły mu się po głowie niby długi szereg wozów w słotny jesienny wieczór, aż poczuł się senny i do reszty zgnębiony. Wydawało mu się, że zawinił wobec Nadieжды Fiodorowny i jej męża, że ponosi odpowiedzialność za jego śmierć. Wydawało mu się, że zawinił wobec własnego życia, które popsuł, wobec świata wzniosłych idei, trudów i wiedzy, bo ten cudowny świat nie mógł, jego zdaniem, istnieć tu, na wybrzeżu, gdzie szwendają się głodni Turcy i leniwi Abchazczycy, lecz tylko tam, na północy, gdzie jest opera, teatry, gazety i wszelkie rodzaje pracy umysłowej. Prawnym, rozumnym, szlachetnym i czystym człowiekiem można być tylko tam, ale nie tutaj. Oskarżał się o brak ideałów i przewodniej idei w życiu, chociaż niezbyt dobrze pojmował teraz, co to znaczy. Kiedy przed dwoma laty zakochał się w Nadieжды Fiodorownie, zdawało mu się, że wystarczy się z nią połączyć i wyjechać na Kaukaz, a zostanie wybawiony od pospolitości i pustki życia; teraz tak samo był przekonany, że wystarczy tylko porzucić Nadieжды Fiodorownę i wyjechać do Petersburga, a otrzyma wszystko, co mu jest potrzebne.

– Uciekać! – wymamrotał, siadając i gryząc paznokcie. – Uciekać!

Widział już w wyobraźni, jak wsiada na statek, potem je śniadanie, pije zimne piwo, gawędzi z paniami na pokładzie, później w Sewastopolu przesiada się do pociągu i jedzie. Witaj, wolności! Stacje migają jedna po drugiej, powietrze staje się coraz chłodniejsze i bardziej rzeźwe, oto brzozy i świerki, oto Kursk, Moskwa... W bufetach dworcowych kapuśniak, baranina z kaszą, jesiotry, piwo, słowem nie ma już azjatyckich, jest Rosja, prawdziwa Rosja. Pasażerowie w pociągu mówią o handlu, o nowych śpiewakach, o franko-rosyjskich sympatiach, wszędzie czuje się prawdziwe, kulturalne, inteligentne, wartkie życie... Prędej, prędzej! Oto nareszcie Newski, Wielka Morska, a oto zaułek Kowieński, gdzie on kiedyś mieszkał ze studentami, oto najmiłsze szare niebo, mżący deszczyk, zmoczeni dorożkarze...

– Iwanie Andrieiczu! – zawołał czyjś głos z sąsiedniego pokoju. – Pan w domu?

– Jestem tutaj! – odezwał się Łajewski. – O co chodzi?

– Papiery!

Łajewski wstał z kanapy leniwie, z zawrotem głowy, z poziewaniem i szurając pantoflami poszedł do sąsiedniego pokoju. Tu przy otwartym oknie, wychodzącym na ulicę, stał jeden z jego młodych kolegów biurowych i rozkładał na parapecie papiery urzędowe.

– Zaraz, mój drogi – powiedział Łajewski miękko i poszedł szukać kałamarza; stanąwszy przy oknie podpisał papiery nie czytając ich i powiedział: – Gorąco!

– Taak. Przyjdzie pan dzisiaj?

– Chyba nie... Jakoś niedobrze się czuje. Niech pan powie Szeszkowskiemu, że wpadnę do niego po obiedzie.

Urzędnik wyszedł. Łajewski znowu położył się na kanapie i zaczął rozmyślać:

„Więc należałoby rozpatrzyć wszystkie okoliczności i zdecydować się. Zanim wyjadę, muszę pospłacać długi. Jestem winien blisko dwa tysiące rubli. Pieniądzy nie mam... To oczywiście nie jest takie ważne; część jakoś oddam, a resztę odeślę z Petersburga. Najważniejsza sprawa to Nadieжда Fiodorowna... Przede wszystkim trzeba wyjaśnić nasze stosunki... Tak”.

W chwilę potem zaczął się zastanawiać: czy nie pójść do Samojlenki i nie zasięgnąć u niego rady?

„Mogę pójść – myślał – ale jaki z tego pożytek? Znowu powiem coś od rzeczy – o buduarze, o kobietach, o tym, co jest albo nie jest uczciwe. Jakie tu, do diabła, mogą być rozmowy o uczciwości czy nieuczciwości, kiedy trzeba czym prędzej ratować swoje życie, kiedy duszę się, ginę w tej przeklętej niewoli. Przecież czas zrozumieć, że kontynuowanie takiego życia jak moje to podłość i okrucieństwo, wobec których wszystko jest nieważne”. – Uciekać! – mrucał siadając. – Uciekać!

Pusty brzeg morza, nieznośny upał i monotonia zamglonych, fioletowych gór, zawsze jednakowych i milczących, zawsze samotnych, przyprawiały Łajewskiego o melancholię i, jak mu się zdawało, usypiały go, okradały. Możliwe, że on jest bardzo mądry, utalentowany, nie-

zwykle prawy; możliwe, że gdyby go nie otaczały ze wszystkich stron góry i morze, zostałby wybitnym działaczem ziemskim, mężem stanu, mówcą, publicystą, bohaterem. Kto wie! Jeżeli tak, to nie ma sensu rozważać, czy to uczciwe, czy nieuczciwe, gdy człowiek uzdolniony i potrzebny, na przykład muzyk albo malarz, uciekając z więzienia, rozwala mur i oszukuje swoich dozorców. W takiej sytuacji wszystko jest uczciwe.

O godzinie drugiej Łajewski i Nadieżda Fiodorowna siedli do obiadu. Kiedy kucharka podała zupę pomidorową, Łajewski powiedział:

– Co dzień to samo. Czy nie można ugotować kapuśniaku?

– Kapusty nie ma.

– To dziwne. I u Samojslenki gotują kapuśniak, i u Marii Konstantinowny kapuśniak, tylko ja jeden muszę z niewiadomych powodów jeść tę słodką łurę. Przecież tak nie można, kochanie.

Dawniej, jak to nieraz bywa w małżeństwie, u Łajewskiego i Nadieżdy żaden obiad nie mijał bez kłótni i grymasów, ale od chwili gdy Łajewski stwierdził, że już nie kocha, zaczął dokładać starań, by ustępować Nadieżdzie we wszystkim, odzywał się do niej łagodnie i grzecznie, uśmiechał się, nazywał ją kochaniem.

– Ta zupa ma smak lukrecji – powiedział z uśmiechem: usiłował zachowywać się uprzejmie, ale w końcu nie wytrzymał i oświadczył: – U nas nikt nie zajmuje się gospodarstwem... Jeżeli jesteś aż tak chora czy pochłonięta lekturą, to proszę cię bardzo, ja sam mogę zająć się sprawami kuchni.

Dawniej byłaby powiedziała: „Zajmij się” albo: „Widzę, że chcesz zrobić ze mnie kucharkę”, ale teraz rzuciła mu tylko zaleźnione spojrzenie i zarumieniła się.

– Jak się czujesz dzisiaj? – zapytał tklawie.

– Dzisiaj nieźle. Jestem trochę osłabiona.

– Musisz się oszczędzać, kochanie. Bardzo się o ciebie boję.

Nadieżda była na coś chora. Samojslenko twierdził, że to malaria, i zalecał chininę; inny lekarz, Ustimowicz, wysoki szczupły odludek, który w dzień siedział w domu, a wieczorem pokaszując powolutku spacerował po bulwarze, zakładając do tyłu ręce i trzymając łaskę wzdłuż pleców, uważał, że to choroba kobieca, i doradzał rozgrzewające kompresy. Dawniej, kiedy Łajewski był zakochany, choroba Nadieżdy Fiodorowny budziła w nim współczucie i obawę, teraz nawet chorobę uważał za jakiś fałsz. Żółta, senna twarz, apatyczny wzrok i poziewanie, które męczyło Nadieżdę po atakach malarycznych, i to, że podczas ataku leżała pod kocem bardziej podobna do chłopca niż do kobiety, i to, że w jej pokoju panował zaduch i niemiła woń – to wszystko, jego zdaniem, burzyło iluzję i było protestem przeciw miłości i małżeństwu.

Na drugie danie Łajewski dostał szpinak z jajkami na twardo, a Nadieżda, jako chora, kisiel z mlekiem. Gdy ona z zatroskaną miną najpierw dotknęła kisielu łyżką, a potem zaczęła powoli jeść popijając mlekiem i Łajewski usłyszał głośne łykanie, ogarnęła go tak ciężka nienawiść, że aż w głowie mu zaświerbiało. Wiedział, że takie uczucie nawet w stosunku do psa byłoby zniewagą, lecz pretensję o to uczucie miał nie do siebie, tylko do Nadieżdy, bo to ona je wywołała; teraz nawet rozumiał, że kochanek może zabić swoją kochankę. Sam oczywiście by nie zabił, ale gdyby w tej chwili miał wystąpić w roli sędziego przysięgłego, uniewinniłby zabójcę.

– Merci, kochanie – powiedział po skończonym obiedzie i pocałował Nadieżdę w czoło.

Wróciwszy do swojego gabinetu, kilka minut chodził z kąta w kąt, spoglądając z ukosa na swoje buty z cholewami, potem usiadł na kanapie i mruknął:

– Uciekać, uciekać! Wyjaśnić wszystko i uciekać!

Położył się na kanapie i znów przyszło mu na myśl, że może mąż Nadieżdy umarł z jego winy.

– Winić człowieka o to, że zakochał się czy przestał kochać, jest bez sensu – przekonywał sam siebie leżąc i zadzierając nogi do góry, żeby wciągnąć buty. – Miłość i nienawiść nie zależą od nas. A jeżeli chodzi o męża, to możliwe, że ja pośrednio też przyczyniłem się do jego śmierci, ale czy jestem winien, że zakochałem się w jego żonie, a ona we mnie?

W końcu wstał i odszukawszy czapkę udał się do Szeszkowskiego, do którego co dzień przychodzili koledzy biurowi na winta i zimne piwo.

„Tym brakiem zdecydowania przypominam Hamleta – medytował Łajewski już na ulicy. – Jak trafnie Szekspir to uchwycił! Ach, jak trafnie!”

### III

Dla własnej rozrywki, a także by przyjść z pomocą nowo przybyłym i samotnym, którzy z braku restauracji w mieście nie mieli gdzie zjeść obiadu, Samojlenko zorganizował u siebie coś w rodzaju table d'hôte. W chwili obecnej zostało mu tylko dwóch stołowników: młody zoolog von Koren, zjeżdżający każdego lata nad Morze Czarne dla badań nad embriologią meduz, i diakon Pobiedow, który niedawno skończył seminarium duchowne i został skierowany służbowo do miasteczka jako zastępca starego diakona, przebywającego na kuracji. Za obiad i kolację płacili oni po dwanaście rubli miesięcznie i Samojlenko zobowiązał ich słowem honoru, że będą przychodzić na obiad punktualnie na drugą.

Von Koren zwykle zjawiał się pierwszy. Milcząc siadał w salonie, brał ze stołu album i zaczynał uważnie oglądać wyblakłe fotografie jakichś nie znanych sobie mężczyzn w szerokich pantalonach i cylindrach oraz dam w krynolinach i czepkach; Samojlenko niewielu z nich pamiętał z nazwiska, a o tych, których nie mógł już sobie przypomnieć, mówił z westchnieniem: „człowiek szlachetny, o niepospolitym umyśle!” Po obejrzeniu albumu von Koren brał z etażerki pistolet i mrużąc lewe oko dłuższą chwilę mierzył do portretu księcia Woroncowa albo stawał przed lustrem i oglądał swoją śniadą twarz, duże czoło i czarne, kędzierzawe jak u Murzyna włosy, i swoją koszulę z matowego perkalu w wielkie kwiaty, przypominającą perski dywan, i szeroki skórzany pas, zastępujący kamizelkę. Kontemplacja własnej osoby sprawiała mu chyba jeszcze większą przyjemność niż oglądanie fotografii czy pistoletu w kosztownej oprawie. Był bardzo zadowolony zarówno ze swojej twarzy, jak z pięknie utrzymanej bródki i barczystych ramion, które niezbitcie świadczyły o dobrym zdrowiu i mocnej budowie. Zadowolony był również ze swojej zalotnej elegancji, zaczynając od krawata, dobranego do koloru koszuli, a kończąc na żółtych butach.

Kiedy von Koren oglądał album i stał przed lustrem, w kuchni i w przyległej sieni Samojlenko bez surduta i kamizelki, z gołą piersią, zdenerwowany i ociekający potem, krzątał się koło stołów, przyrządzając sałatę czy jakiś sos, czy mięso, ogórki i szczypiorek do chłodnika, przy czym wściekle wytrzeszczał oczy na pomagającego mu ordynansa i zamierzał się nań to nożem, to łyżką.

– Podaj ocet! – rozkazywał. – Nie, nie ocet, tylko oliwę! – wrzeszczał tupiąc nogami. – Dokąd idziesz, bydlaku?

– Po oliwę, ekscelencjo – mówił drżącym tenorem ogłupiały ordynans.

– Prędeż! Stoi w szafie! I powiedz Dari, żeby dołożyła kopru do słoja z ogórkami. Kopru! Przykryj śmietaną, gapo, bo muchy wleczą!

Zdawało się, że od tego krzyku huczy cały dom. Kiedy do godziny drugiej brakowało zaledwie dziesięciu czy piętnastu minut, zjawiał się diakon, młodzieniec lat dwudziestu dwóch, szczupły, długowłosy, bez brody, z ledwo dostrzegalnym wąsem. Po wejściu do salonu zęgnął się przed obrazem, uśmiechał się i wyciągał ręce do von Korena.

– Dzień dobry! – mówił chłodno zoolog. – Gdzieś pan był?

– Na przystani, byczki łowiłem.

– No, oczywiście... Ten diakon chyba nigdy nie zajmie się żadną pracą.  
– Dlaczego? Praca nie zając, do lasu nie ucieknie – mówił diakon z uśmiechem, wsuwając rękę w bezdenne kieszenie swojej szaty duchownej.

– Przydałoby się panu dobre lanie! – wzdychał zoolog.

Mijało piętnaście czy dwadzieścia minut, a obiadu wciąż nie podawano i tylko było sły-  
chać, jak ordynans walił butami, biegnąc z sieni do kuchni i z powrotem, jak Samojlenko  
wrzeszczał:

– Postaw na stole! Gdzie to pchasz? Wpierw umyj!

Wyglądzeni diakon i von Koren zaczęli tupać obcasami o podłogę, wyrażając przez to  
swoje zniecierpliwienie, zupełnie jak widzowie na galerii teatralnej. Wreszcie drzwi otwierały  
się i zmordowany ordynans oznajmiał: „Obiad na stole!” W jadalni witał ich purpurowy,  
zgrzany od kuchennego zaduchu, rozeźlony Samojlenko; patrzył na nich gniewnie, z wyrazem  
przeżycia na twarzy podnosił pokrywkę z wazy, nalewał zupę do talerzy i dopiero gdy wi-  
dział, że obaj jedzą z apetytem i że zupa im smakuje, oddychał z ulgą i siadał na swoim głę-  
bokim fotelu. Jego twarz przybierała wyraz rozanielenia. Powoli nalewał sobie kieliszek  
wódki i mówił:

– Zdrowie młodego pokolenia"

Po rozmowie z Łajewskim Samojlenko przez cały czas od rana do obiadu, mimo wyśmie-  
nitégo humoru, czuł w sercu jakiś ciężar; żał mu było Łajewskiego, chciałby mu pomóc. Po  
wypiciu kieliszka wódki przed zupą westchnął i powiedział:

– Widziałem się dziś z Wanią Łajewskim. Ten to ma ciężkie życie. Strona materialna wy-  
gląda kiepsko, a co najważniejsze. – psychologia go zadręcza. Szkoda chłopca.

– Jego to już wcale nie żałuję – odparł von Koren. – Gdyby ten sympatyczny mężczyzna  
topił się, popchnąłbym go jeszcze kijem: top się, bracie, top...

– Nieprawda. Nie zrobiłbyś tego.

– Myślisz? – wzruszył ramionami zoolog. – Mnie tak samo stać na dobry uczynek, jak i  
ciebie.

– Czy utopienie człowieka to dobry uczynek? – zapytał diakon i zaśmiał się.

– Łajewskiego? Oczywiście.

– W tym chłodniku, zdaje się, czegoś brak... – powiedział Samojlenko, chcąc zmienić te-  
mat rozmowy.

– Łajewski jest bez wątpienia szkodliwy, a dla społeczeństwa tak samo niebezpieczny jak  
bakteria cholery – ciągnął von Koren. – Utopić go to po prostu zasługa.

– Nie przysparza ci zaszczytu, że się w ten sposób wyrażasz o swoim bliźnim. Powiedz: za  
co ty go nienawidzisz?

– Nie gadałbyś głupstw, doktorze. Nienawidzić bakterii i gardzić nią to nonsens, a uważać  
byle kogo, bez wyboru, za swojego bliźniego – dziękuję ślicznie – to znaczy: nie myśleć, za-  
pomnieć o sprawiedliwym stosunku do ludzi, słowem, umyć ręce. Uważam twój Łajew-  
skiego za szubrawca, bynajmniej tego nie ukrywam i traktuję go jak szubrawca z całą rzetel-  
nością, na jaką mnie stać. Ty go uważasz za swojego bliźniego, to się z nim całuj; uważasz za  
bliźniego, a to znaczy, że masz do niego taki sam stosunek jak do mnie i do diakona, czyli  
nijaki. Jesteś po prostu jednakowo obojętny dla wszystkich.

– Nazwać człowieka szubrawcem! – Mruknął Samojlenko krzywiąc się z odrazą. – To ta-  
kie brzydkie, że aż nie umiem ci tego wyrazić.

– O ludziach sędzi się po ich uczynkach – ciągnął von Koren. – Niech więc diakon osą-  
dzi... Chcę o tym pomówić z diakonem. Działalność pana Łajewskiego rozwija się przed nami  
jak tasiemcowy dokument chiński, możemy ją odczytać od początku do końca. Co on zrobił  
poprzez te dwa lata, odkąd tu zamieszkał? Policzymy na palcach. Po pierwsze, nauczył oby-  
wateli miasteczka grać w winta; przed dwoma laty ta gra nie była tu znana, natomiast dzisiaj  
wszyscy, nawet kobiety i podlotki, grają w winta od rana do późnej nocy; po drugie, nauczył

mieszczuchów pić piwo, które również nie było tu znane; jemu także mieszczychy zawdzięczają swoją wiedzę w dziedzinie rozmaitych gatunków wódek: nawet z zamkniętymi oczami mogą teraz odróżnić wódkę Koszelowa od Smirnowa numer dwadzieścia jeden. Po trzecie, dawniej mężczyźni żyli tutaj z cudzymi żonami po kryjomu, z tych samych pobudek, z jakich złodzieje kradną potajemnie, a nie jawnie; cudzołóstwo było uważane za coś takiego, czego się nie wystawia na widok publiczny; Łajewski natomiast okazał się w tym względzie pionierem: otwarcie żyje z cudzą żoną. Po czwarte...

Von Koren szybko zjadł chłodnik i oddał ordynansowi swój talerz.

– Rozgryzłem Łajewskiego już w pierwszym miesiącu naszej znajomości – ciągnął zwracając się do diakona. – Przyjechaliśmy tu w tym samym czasie. Tacy ludzie jak on ogromnie cenią przyjaźń, bliskość, solidarność, ponieważ im stale jest potrzebne towarzystwo do picia, jedzenia i kart; na dobitkę są oni gadatliwi i potrzebują słuchaczy. Zaprzyjaźniliśmy się, co oznacza, że on każdego dnia przyłączył do mnie, przeszkadzał mi w pracy i wynurzał się na temat swojej utrzymanki. Od pierwszej chwili uderzyło mnie w nim jakieś niezwykle zakłamanie, od którego aż mdliło. Jako przyjaciel łajałem go, że za dużo pije, że żyje nad stan i zaciąga długi, że nic nie robi i nie czyta, że jest mało kulturalny i mało umie, a on w odpowiedzi na wszystkie moje zarzuty uśmiechał się cierpko, wzdychał i mówił: „Jestem pechowcem, niepotrzebnym człowiekiem” albo: „Czego można się spodziewać po nas, skarłowaciałych potomkach feudałów?”, albo: „Jesteśmy zdegenerowani do cna...” Albo zaczynał pleść jakieś androny na temat Oniegina, Pieczorina, Byronowskiego Kaina, Bazarowa, o których mówił: „To nasi ojcowie z krwi i kości”. Należało to tak zrozumieć: on nie jest winien, że listy urzędowe tygodniami leżą nawet nie rozcięte, że on sam pije i rozpija innych, bo winę za to ponoszą Oniegin, Pieczorin i Turgieniew, który wynalazł pechowca i niepotrzebnego człowieka. Przyczyna tego plugastwa i popuszczania sobie cugli, uważa pan, tkwi – nie w nim samym, lecz gdzieś na zewnątrz, w powietrzu. A poza tym – jaki zręczny kawał – to nie on osobiście jest rozpustny, zakłamaný i plugawy, tylko my... „my, ludzie lat osiemdziesiątych”, „my, apatyczne, nerwowe pokolenie popańszczyźniane”, „my, spaczeni przez cywilizację...” Słowem, należy sądzić, że tak wielki człowiek, jak Łajewski, jest wielki nawet w upadku; że jego rozpusta, niechlujstwo i brak wykształcenia stanowią zjawisko biohistoryczne, uświęcone koniecznością, wynikające z przyczyn żywiołowych, kosmicznych, i że Łajewskiego trzeba na ołtarzu ustawić, ponieważ to niewinna ofiara epoki, prądów, dziedziczności i temu podobne. Urzędnicy i damy, słuchając go, zamierali z podziwu, ja natomiast długo nie mogłem zrozumieć, z kim mam do czynienia: z cynikiem czy też z cwany filutem? Takie typy jak on, na oko inteligentne, jako tako wychowane i wciąż rozprawiające o własnej szlachetności, potrafią stworzyć pozory niezwykle skomplikowanej organizacji duchowej.

– Zamilcz! - uniósł się Samojlenko. – Nie pozwolę, żeby w mojej obecności mówiono źle o najzaciejszym człowieku.

– Nie przerywaj mi, Aleksandrze Dawidycz – odparł von Koren zimno. – Zaraz skończę. Łajewski to osobowość niezbyt skomplikowana. Oto jego zarys moralny: rano pantofle, kąpiel i kawa, przed obiadem pantofle, spacer i rozmówki, o godzinie drugiej pantofle, obiad i wino, o piątej kąpiel, herbata i wino, potem wint i łgarstwo, o dziesiątej kolacja i wino, a po północy sen i la femme. W tym ciasnym programie jest zawarta cała jego egzystencja jak jajko w skorupie. Czy idzie, czy siedzi, czy pisze, czy gniewa się, czy cieszy – wszystko sprowadza się do wina, kart, pantofli i kobiety. Kobieta w jego życiu gra rolę fatalną. Sam nieraz opowiada, jak mając trzynaście lat już był zakochany, a na pierwszym roku uniwersytetu żył z pewną damą, która wywierała na niego dobroczynny wpływ i której zawdzięcza swoje wykształcenie muzyczne. Na drugim roku wykupił prostytutkę z domu publicznego i podniósł ją ku sobie, czyli po prostu zrobił z niej swoją utrzymankę, ale przeżyła z nim zaledwie pół roku i uciekła z powrotem do właścicielki zakładu, a ta ucieczka sprawiła mu wiele cierpień. Niestety, tak cierpiał, że musiał opuścić uniwersytet i spędzić w domu dwa lata bez żadnego zaję-

cia. To zresztą obróciło się na lepsze. W domu zaczął romansować z pewną wdową, która doradziła mu rzucić fakultet prawniczy i przejść na filologiczny. Tak też uczynił. Po skończeniu studiów zakochał się bez pamięci w swojej obecnej... jak jej tam?... mężatce i musiał z nią uciekać na Kaukaz, rzekomo po ideały. Nie dziś to jutro miłość się skończy i on znów ucieknie z powrotem do Petersburga, również w poszukiwaniu ideałów.

– Skąd ty to wiesz! – warknął Samojlenko patrząc na zoologa ze złością. – Jedz, nie gadaj.

Podano głowacze z wody po polsku. Samojlenko nałożył swoim stołownikom na talerze po całym głowaczu i własnoręcznie polał sosem. Parę minut upłynęło w milczeniu.

– Kobieta gra ważną rolę w życiu każdego człowieka – powiedział diakon. – Nic na to nie poradzimy.

– Owszem, ale w jakim stopniu? Dla każdego z nas kobieta to matka, siostra, żona, przyjaciel, dla Łajewskiego zaś kobieta jest wszystkim, a przy tym tylko kochanką. Ona, czyli życie z nią, to szczęście i cel życia; Łajewski jest wesoły czy smutny, znudzony czy rozczarowany – dzięki kobiecie; życie obrzydło – kobieta zawiodła; zajaśniał świt nowego życia, odnalazły się ideały – tu też szukaj kobiety... Podobają mu się bez zastrzeżeń tylko te utwory czy obrazy, gdzie występuje kobieta. Nasza epoka, jego zdaniem, jest zła, jest gorsza niż lata czterdzieste i sześćdziesiąte tylko dlatego, że miłosna ekstaza i namiętność nie porywają już nas aż do samozapamiętania. Ci lubieżnicy chyba mają w mózgu jakąś podobną do sarkomy narośl, która uciska mózg i kieruje całą psychiką. Warto zaobserwować, jak zachowuje się, Łajewski, gdy jest w towarzystwie. Zauważcie tylko, panowie: kiedy się przy nim porusza jakieś ogólne zagadnienie, powiedzmy, o komórce czy instynkcie, on wtedy siedzi na uboczu, milczy i nie słucha; minę ma roztargnioną, rozczarowaną, nic go nie interesuje, wszystko jest dla niego banalne i nieważne: ale niech ktoś zacznie mówić o samcach i samicach, na przykład o tym, że u pajaków samica po zapłodnieniu zjada samca. – jemu zaraz oczy zapłoną ciekawością, twarz rozjaśni się, słowem, cały ożyje. Wszystkie jego myśli, bądź szlachetne i wzniosłe, bądź obojętne, zawsze krzyżują się w jednym punkcie. Idziecie z nim na przykład ulicą i spotykacie, dajmy na to, osła... „Ciekaw jestem, powiada, co by było, gdyby oslicę sparzyć z wielbłądem?” A sny! Czy opowiadał wam kiedykolwiek swoje sny? Coś niebywałego! to mu się śni, że jego żenią z kometą, to – że go wzywają na policję i każą, żeby żył z gitarą...

Diakon wybuchnął grzmiącym śmiechem. Samojlenko zasepił się i gniewnie zmarszczył twarz, żeby zachować powagę, ale w końcu nie wytrzymał i zaśmiał się.

– I wciąż zmyśla! – powiedział ocierając łzy. – Jak Boga kocham, zmyśla!

## IV

Diakon był bardzo skory do śmiechu i od byle głupstwa śmiał się do kolek w brzuchu, do łez. zdawało się, że wśród ludzi lubił przebywać tylko dlatego, że mają swoje śmieszne strony i że wszystkim można nadawać śmieszne przydomki. Samojlenkę przezwał tarantulą, jego ordynansa – kaczołem i nie posiadał się z zachwyty, gdy von Koren wyraził się kiedyś o Łajewskim i Nadzieździe Fiodorownie, że to makaki. Diakon bacznie wpatrywał się w twarze rozmawiających, słuchał nie mrugnawszy powieką i widać było, jak oczy rozszerza mu uśmiech, a twarz tężeje w oczekiwaniu – kiedy można będzie nareszcie wyśmiać się do woli.

– To rozwiązły, zdeprawowany typ – ciągnął zoolog, a diakon, oczekując śmiesznych wyrażań, wpił się oczami w jego twarz. – Rzadko się spotyka takie zera. Ciało ma anemiczne, cherlawe, starcze, a pod względem intelektu niczym się nie różni od grubej kupcowej, która tylko żre, pije, śpi na pierzynie i utrzymuje stosunek miłosny ze swoim stangretem.

Diakon znów wybuchnął śmiechem.

– Proszę się nie śmiać, diakonie. – powiedział von Koren – to naprawdę niemądre. Żadnej uwagi nie zwróciłbym na tę marną osobistość – ciągnął, wyczekawszy, aż diakon przestał się śmiać – przeszedłbym koło niej obojętnie, gdyby nie była tak szkodliwa i niebezpieczna. Szkodliwość Łajewskiego polega przede wszystkim na powodzeniu u kobiet, co grozi potomstwem, czyli sprezentowaniem świata tuzina Łajewskich, równie cherlawych i zdeprawowanych jak on sam. Po drugie, zaraża on wszystkich dookoła siebie. Już wspominałem o wincie i piwie. Jeszcze rok, jeszcze dwa, a Łajewski podbije całe wybrzeże kaukaskie. Wiecie chyba, jak dalece ogół ludzi, zwłaszcza warstwy średnie, zważa na wykształcenie uniwersyteckie, inteligencję, szlachetne pozory i literacką gładkość języka. Jakikolwiek paskudztwo zrobiłby Łajewski, wszyscy i tak będą uważali, że to słuszne, że tak być powinno, bo to człowiek inteligentny, liberalny, z wyższym wykształceniem. A w dodatku pechowiec, niepotrzebny człowiek, neurastenik, ofiara epoki, co oznacza, że mu wszystko wolno. To swój chłop, szczerą duszą; on tak wyrozumiale traktuje ułomności ludzkie, jest tak ustepliwy, zgodny, łatwy, niezrozumiały, z nim można i popić, i poplotkować, i poświntuszyć... Ogół ludzi, zawsze skłonny do antropomorfizmu w religii i moralności, najbardziej wielbi te bóstwa, które mają podobne wady, co on. Zważcie więc, jak szerokie pole do zarazy leży przed Łajewskim. W dodatku to niezły aktor i zręczny hipokryta, dobrze wie, co w trawie piszczy. Przypomnijcie sobie jego wybiegi i sztuczki, na przykład choćby jego stosunek do cywilizacji. Ani jej nawet liznął, a mimo to: „Ach, jak jesteśmy zepsuci przez cywilizację! Ach, jakże zazdrość dziłkusom, tym dzieciom natury, co nie znają cywilizacji!”. To ma oznaczać, proszę panów, że on kiedyś w dalekiej przeszłości był oddany cywilizacji całym sercem, służył jej, zgłębił ją do dna, ale znużyła go, zawiodła, rozczarowała; on, uważacie, to Faust, to drugi Tołstoj... A Schopenhauera i Spencera traktuje jak młokosów, protekcyjnie klepie ich po ramieniu: no jak tam, Spencerze, co słychać, bracie? Spencera naturalnie nie czytał, ale z jakim wdziękiem, z jak lekką, niedbałą ironią mówi o swojej damulce: „Ona czytała Spencera!” A wszyscy go słuchają i nikt nie chce zrozumieć, że ten szarlatan nie tylko nie ma prawa mówić o Spencerze takim tonem, ale nawet ucałować buta Spencera. Podkopywać się pod cywilizację, pod autorytety, pod cudze ołtarze, opryskiwać je błotem, błazeńsko mrugać do nich jedynie po to, żeby usprawiedliwić i ukryć swoje cherlactwo i ubóstwo moralne, może tylko zwierzę bardzo samolubne, nędzne i nikczemne.

– Nie rozumiem, Kola, czego ty od niego chcesz? – powiedział Samojlenko patrząc na zoologa już nie ze złością, tylko z lękiem. – To taki sam człowiek jak wszyscy. Naturalnie, że ma swoje słabostki, ale przecież jest na poziomie dzisiejszych idei, pracuje, ojczyzna ma z niego pożytek. Dziesięć lat temu mieszkał tu staruszek pośrednik, człowiek o niepospolitym umyśle... Więc on mówił...

– Dość, dość! – przerwał mu zoolog. – Powiadasz: Łajewski pracuje. Ale jak? Czy przez to, że się tu zjawił, mamy lepszy porządek, a urzędnicy stali się bardziej sprawni, uczciwi i grzeczni? Na odwrót, on przez swój autorytet człowieka inteligentnego, z wyższym wykształceniem, tylko sankcjonuje ich odwieczne niedbalstwo. Spełnia swoje obowiązki jedynie dwudziestego każdego miesiąca, gdy bierze pensję, bo w pozostałe dni tylko szura pantoflami po domu i usiłuje przybrać taki wyraz twarzy, jakby robił łaskę rosyjskiemu rządowi, że mieszka na Kaukazie. Nie, Aleksandrze Dawidycz, nie broń Łajewskiego. Jesteś nieszczerzy od początku do końca. Gdybyś go naprawdę kochał i uważał za swojego bliźniego, nie patrzyłbyś obojętnie na jego wady, nie tolerowałbyś ich, ale dla jego dobra starałbyś się go unieszkodliwić.

– To znaczy?

– Unieszkodliwić. Ponieważ Łajewski nigdy się nie poprawi, można go unieszkodliwić tylko w ten sposób...

Von Koren zrobił wymowny gest ręką koło szyi.

– A może lepiej utopić... – dodał. – To leży w interesie społeczeństwa, a także w naszym własnym interesie, żeby tacy ludzie byli niszczeni. Bezwarunkowo.

– Co ty wygadujesz?! – jęknął Samojlenko podnosząc się i patrząc w zdumieniu na spokojną, zimną twarz zoologa. – Diakonie, co on wygaduje? Zwariowałeś?

– Nie upieram się przy karze śmierci – powiedział von Koren. – Skoro udowodniono, że jest szkodliwa, wymyślcie coś innego. Nie można zabić Łajewskiego, niech więc zostanie izolowany, pozbawiony praw, zesłany na ciężkie roboty...

– Co ty wygadujesz? – przeraził się Samojlenko. – Z pieprzem, z pieprzem! – krzyknął rozpaczliwym głosem, widząc, że diakon je nadziewane kabaczki bez pieprzu. – Ty, człowiek o niepospolitym umyśle, co ty wygadujesz?! Nasz przyjaciel, dumny, inteligentny człowiek, ma być zesłany na roboty publiczne!

– A jeżeli jest dumny i będzie stawiał opór – kajdany!

Samojlenko nie mógł już wykrztusić ani słowa i tylko poruszał palcami; diakon spojrzał na jego oszołomioną, naprawdę komiczną twarz i wybuchnął śmiechem.

– Przestańmy o tym mówić – powiedział zoolog. – Pamiętaj tylko jedno, Aleksandrze Dawidyczu: społeczeństwa pierwotne broniły się przed takimi typami jak Łajewski walką o byt i selekcją; dzisiaj nasza kultura w znacznej mierze stepiła walkę i selekcję, musimy więc sami zatroszczyć się o zagładę niezdatnych i cherlawych osobników, bo w przeciwnym wypadku, gdy Łajewscy się rozmnożą, cywilizacja zginie, a ludzkość całkowicie się zdegeneruje. To będzie nasza wina.

– Jeżeli trzeba wieszać i topić ludzi – zawołał Samojlenko – to niech diabli wezmą cywilizację i ludzkość. Do diabła! Wiesz, co ci powiem: tyś człowiek niezwykle wykształcony, o niepospolitym umyśle, chluba ojczyzny, ale ciebie Niemcy zbałamucili. Tak, Niemcy! Niemcy!

Samojlenko, z chwilą gdy wyjechał z Dorpatu, gdzie studiował medycynę, rzadko widywał Niemców i nie przeczytał żadnej niemieckiej książki, ale był święcie przekonany, że całe zło w polityce i nauce spowodowali Niemcy. Skąd mu przyszło do głowy podobne przekonanie, tego sam nie umiałby wytłumaczyć, ale trzymał się go mocno.

– Tak, Niemcy! – powtórzył jeszcze raz. – Chodźmy na herbatę.

Wszyscy trzej wstali i włożywszy kapelusze przeszli do ogródka, gdzie usiedli w cieniu białych klonów, grusz i kasztanów. Zoolog i diakon zajęli ławkę przy stoliku, a Samojlenko uplasował się na trzcinowym fotelu z szerokim, pochyłym oparciem. Ordynans podał herbatę, konfitury i butelkę syropu.

Było bardzo gorąco, może trzydzieści stopni w cieniu. Upalne powietrze zamarło nieruchomo, jakby stężało, a długa pajęczyna, zwieszająca się z gałęzi kasztanu aż do ziemi, zawisła bezwładnie i nie poruszała się.

Diakon wziął gitarę, która stale leżała na ziemi koło stołu, nastroił ją i zanucił po cichu, cienkim głosem: „Młodziankowie seminaryjni prym w gospodzie wiodą...”, ale z gorącą natychmiast umilkł, wytarł pot z czoła i spojrzał w górę na szafirowe, upalne niebo. Samojlenko zdrzemnął się; od skwaru, ciszy i słodkiej poobiedniej senności, która ogarnęła wszystkie jego członki, poczuł się słaby i podchmielony, ręce mu zwisły, oczy zmalowały, głowa opadła na pierś. W łzawym rozczuleniu spojrzał na von Korena i diakona i zamamrotał:

– Młode pokolenie... Gwiazda nauki i kaganiec wiary... Tylko patrzeć, jak ta długoszata alleluja wykieruje się na metropolitę, kto wie, czy człowiek nie będzie musiał całować w rączkę... Cóż... daj Boże...

Wkrótce rozległo się chrapanie. Von Koren i diakon dopili herbatę i wyszli na ulicę.

– Pan znów na przystań łowić byczki? – zapytał zoolog.

– Nie, za gorąco.

– Chodź pan do mnie. Spakuje mi pan paczkę do wysłania i coś niecoś przepisze. Przy okazji rozważymy, czym się pan ma zająć. Bo trzeba pracować, diakonie. Tak nie można.



– Pańskie słowa są słuszne i logiczne – odparł diakon – lecz lenistwo moje znajduje sobie usprawiedliwienie w okolicznościach mojego obecnego żywota. Sam pan rozumie, że niepewność sytuacji w znacznym stopniu przyczynia się do stanu apatii. Czy mnie tutaj przysła-  
no chwilowo, czy na stałe – Bóg jeden wie; żyję w ciągłej niepewności, a moja diakonica  
wegetuje u ojca i nudzi się. Przyznaję też, że od tych upałów mózg się człowiekowi rozkleja.

– Brednie! – oświadczył zoolog. – I do upałów można się przyzwyczaić, i bez diakonicy  
można przeżyć. Nie należy się pieścić. Trzeba wziąć się w garść.

## V

Nadieżda Fiodorowna szła rano do kąpieli, a za nią sunęła jej kucharka Olga z dzbanem, z  
miedzianą miednicą, gąbką i prześcieradłami. Na redzie stały jakieś dwa nieznane statki o  
brudnych białych kominach, prawdopodobnie cudzoziemskie towarowe. Jacyś mężczyźni w  
białych ubraniach, w białych butach chodzili po przystani i głośno krzyczeli po francusku, a  
ze statków coś im odhukiwano. W miejskiej cerkiewce wesoło dzwoniły dzwony.

„Dzisiaj niedziela!” – przypomniała sobie z zadowoleniem Nadieżda.

Czuła się zupełnie zdrowa i była w świetnym, prawdziwie świątecznym humorze. Nowa  
szeroka suknia z szorstkiej męskiej chesuczy i duży słomkowy kapelusz o szerokich brzegach  
tak mocno przygiętych ku uszom, że twarz jakby wychylała się z koszyka, dodawały Nadież-  
dzie miłego przeświadczenia o własnym wdzięku. Uważała, że w całym mieście jest tylko  
jedna młoda, ładna, inteligentna kobieta – właśnie ona. I że tylko ona jedna umie ubrać się  
tanio, wykwitnie i ze smakiem. Na przykład ta suknia kosztuje zaledwie dwadzieścia dwa  
ruble, a przecież arcywdzięczna! W całym mieście może się podobać tylko jedna Nadieżda  
Fiodorowna, mężczyzn natomiast jest dużo, siłą rzeczy więc muszą zazdrościć Łajewskiemu.

Cieszyło ją, że Łajewski od jakiegoś czasu zachowuje się wobec niej zimno, z powściągli-  
wą grzecznością, a chwilami bywa nawet arogancki i opryskliwy; dawniej na wszystkie jego  
wybryki i zimne, pogardliwe czy dziwne, niezrozumiałe spojrzenia zareagowałaby łzami,  
wymówkami i pogroźkami, że wyjedzie albo zagłodzi się na śmierć, teraz natomiast tylko  
czerwieniła się, spoglądała na niego jak winowajczyni i cieszyła się, że jej nie pieści. Byłoby  
nawet jeszcze lepiej, gdyby urągał i groził, bo czuła się wobec niego pod każdym względem  
winna. Zdawało jej się, że jest winna, po pierwsze dlatego, że nie podziela ego marzeń o ży-  
ciu pełnym pracy, dla którego opuścił Petersburg i przeniósł się na Kaukaz, a nawet była  
przekonana, że ostatnimi czasy właśnie to jest powodem jego dąsów. Kiedy jechała na Kau-  
kaz, zdawało jej się, że już pierwszego dnia znajdzie tutaj odosobniony zakątek na brzegu,  
jakiś zaciszny ogródek z cieniem, ptakami i strumykami, gdzie można będzie sadzić kwiaty i  
jarzyny, hodować kury i kaczki, przyjmować sąsiadów, leczyć biednych chłopów i rozdawać  
im książki; okazało się jednak, że Kaukaz to łyse góry, lasy i olbrzymie doliny, gdzie trzeba  
długo szukać i długo zabiegać, żeby się pobudować, i że nie ma żadnych sąsiadów, natomiast  
jest bardzo gorąco i każdej chwili można zostać obrabowanym. Łajewski nie spieszył się z  
kupnem kawałka ziemi! Nadieżda była z tego bardzo zadowolona i oboje jakby zawarli mil-  
czącą umowę, że ani wspomną o życiu pełnym pracy. Milczy, myślała Nadieżda, a więc  
gniewa się na nią za to, że i ona milczy.

Po drugie, bez wiedzy Łajewskiego przez te dwa lata nabrała na kredyt w sklepie Aczmi-  
janowa rozmaitych drobiazgów na sumę trzystu rubli. Brała po trochu: to materiał, to jedwab  
do szycia, to parasolkę, aż nieznacznie uzbierał się taki dług.

– Dzisiaj to jemu powiem... – postanowiła, ale natychmiast zorientowała się, że Łajew-  
skiemu w tym nastroju raczej nie należy mówić o długach.

Po trzecie, już dwa razy pod nieobecność Łajewskiego przyjęła u siebie przystawa Kirilina:  
raz rano, kiedy Łajewski poszedł do kąpieli, i raz o północy, kiedy grał w karty. Przypo-

mniawszy sobie o tym, Nadieżda spłonęła rumieńcem i obejrzała się na kucharkę, jakby w obawie, żeby ta nie podsłuchiwała jej myśli. Długie, nieludzko upalne, nudne dni, piękne, drażniące wieczory, duszne noce i całe to życie, kiedy od rana do nocy nie wie się, na co zużyć niepotrzebny czas, i natrętna myśl, że się jest młodą i najładniejszą w mieście kobietą, a młodość mija bez sensu, i wreszcie sam Łajewski, uczciwy, ideowy, ale monotony, wiecznie szurający pantoflami, ogryzający paznokcie i zanudzający kapryśnym usposobieniem – wszystko złożyło się na to, że Nadieżdę stopniowo ogarnęły pragnienia i jak szalona dzień i noc myślała wciąż o tym samym. W swoim oddechu, w spojrzeniach, w głosie i w ruchach czuła tylko i wyłącznie pragnienie; szumiące morze mówiło jej, że trzeba kochać, wieczorny mrok – to samo, góry – to samo... I gdy Kirilin zaczął jej nadszkarzać, nie chciała, nie była w stanie się oprzeć i oddała mu się...

Teraz cudzoziemskie statki i ludzie w bieli nie wiadomo czemu wywołali w jej myśli obraz jakiejś ogromnej sali; razem z francuską mową zabrzmiały w uszach wesołe dźwięki walca, a pierś drgnęła radośnie. Zachciało jej się tańczyć i mówić po francusku.

Myślała z zadowoleniem, że jej zdrada nie jest znowu tak straszna. Jej zdrada odbyła się bez udziału serca; ona przecież nadal kocha Łajewskiego, o czym świadczy to, że jest zazdrosna, że lituje się nad nim i tęskni, gdy go nie ma w domu. A Kirilin, jak się okazało, to nic nadzwyczajnego, typ dość prostacki, choć przystojny, z nim już wszystko skończone i nigdy się nie powtórzy. Co było, to minęło i nikogo nie powinno obchodzić, a jeżeli Łajewski nawet się dowie, to i tak nie uwierzy.

Na brzegu była tylko jedna budka kąpielowa dla pań, mężczyźni kąpali się po prostu pod gołym niebem. W budce Nadieżda zastała Marię Konstantinownę Bitiugową, żonę urzędnika, damę już leciwą, oraz jej piętnastoletnią córkę Katię, gimnazjaliskę; obie siedziały na ławeczce i rozbrajały się. Maria Konstantinowna była to osoba zacna, delikatna i egzaltowana, mówiąca przeciągle, z patosem. Do trzydziestego drugiego roku życia mieszkała w rozmaitych domach jako guwernantka, później wyszła za urzędnika Bitiugowa, niziutkiego, łysiego człowieka, zaczesującego włosy na skronie i bardzo łagodnego. Maria Konstantinowna była w nim wciąż zakochana, dręczyła się zazdrością, płonęła rumieńcem przy słowie „miłość” i zapewniała wszystkich, że jest ogromnie szczęśliwa.

– Moja najdroższa! – zawołała entuzjastycznie na widok Nadieżdy, przyoblekając twarz w ten wyraz, który wszyscy nazywali „sacharynowym”. – Najmilsza, jak to dobrze, że pani przyszła. Będziemy kąpać się razem, to po prostu uroczel!

Olga szybko zdjęła suknię i koszulę i zaczęła rozbrajać swoją panią.

– Prawda, że dzisiaj nie jest tak duszno jak wczoraj? – powiedziała Nadieżda Fiodorowna kuląc się przed szorstkimi dotknięciami gołej kucharki. – Wczoraj niemal umierałam z gorąca.

– O tak, moja najmilsza. Ja też po prostu nie miałam czym oddychać. Czy pani uwierzy, że wczoraj kąpałam się trzy razy... proszę sobie wyobrazić – trzy razy! Nikodim Aleksandrycz aż się zaniepokoił.

„No jak można być czymś tak brzydkim?” – zdumiała się w myśli Nadieżda Fiodorowna, patrząc na Olę i na Bitiugową; potem spojrzała na Katię i pomyślała: „Dziewczynka nie najgorzej zbudowana”.

– Nikodim Aleksandrycz jest przemiły – oświadczyła. – Po prostu się w nim kocham.

– Cha-cha-cha! – roześmiała się z przymusem Maria Konstantinowna. – To uroczel!

Pozbywszy się odzieży Nadieżda poczuła chęć do latania w powietrzu. I wydało jej się, że gdyby machnęła rękoma, to niewątpliwie pofrunęłaby w górę. Rozebrawszy się zauważyła, że Olga patrzy z odrazą na jej białe ciało. Olga, młoda żołnierka, żyła ze swoim ślubnym mężem i z tej racji uważała się za osobę godziwszą i lepszą od niej. Nadieżda Fiodorowna wyczuwała też, że Bitiugowa i Katia nie szanują jej i boją się. To było przykre, żeby więc dodać sobie znaczenia w ich oczach, powiedziała niedbale:

– U nas w Petersburgu teraz sezon letniskowy w pełni. My z mężem mamy tylu znajomych. Trzeba by było pojechać w odwiedziny.

– Pani mąż, zdaje się, jest inżynierem? – zapytała nieśmiało Bitiugowa.

– Mówię o Łajewskim. On ma bardzo dużo znajomych. Ale jego matka, niestety, to dumna arystokratka, dość ograniczona...

Nadieżda nie dokończyła i rzuciła się do wody; za nią poczłapała Maria Konstantinowna i Katia.

– U nas w wyższych sferach w ogóle za dużo przesądów – ciągnęła Nadieżda – i życie bynajmniej nie jest tak łatwe, jak się wydaje.

Bitiugowa, która w swoim czasie była guwernantką w rodzinach arystokratycznych i знаła się na wyższych sferach, przytaknęła.

– O tak! Czy pani uwierzy, że u Garatyńskich wymagano starannej toalety i do śniadania, i do obiadu, toteż oprócz pensji dostawałam jak aktorka dodatek na stroje.

Stała pomiędzy Nadieżdą i Katią jakby odgradzając swoją córkę od tej wody, która otaczała Nadieżdę. Przez otwarte drzwi, prowadzące wprost na morze, było widać, jak ktoś płynie w odległości stu kroków od budki.

– Mamo, to nasz Kostia! – powiedziała Katia.

– Ach, ach! – wydzakała w przerażeniu Maria Konstantinowna. – Ach, Kostia! – krzyknęła. – Wracaj! Kostia, wracaj!

Czternastoletni Kostia, chcąc popisać się odwagą przed matką i siostrą, dał nura i popłynął dalej, ale prędko zmęczył się i zawrócił, a na jego poważnej, naprężonej twarzy malował się wyraźny brak zaufania do własnych sił.

– Kłopot z tymi chłopakami, droga pani! – powiedziała Bitiugowa, uspokoiwszy się. – Tylko patrzeć, jak kark sobie skręci. Ach, moja droga, jak przyjemnie, ale jak ciężko być matką! Człowiek wszystkiego się boi.

Nadieżda włożyła swój słomkowy kapelusz i wysunęła się z budki na otwartą przestrzeń. Przepłynęła kilka sążni i położyła się na plecach. Widziała morze aż po linię horyzontu, statki, ludzi na brzegu, miasto, a to wszystko – łącznie z upałem i przejrzystymi, pieszczotliwymi falami – podniecało ją, szeptało jej, że trzeba żyć, żyć... Tuż obok, energicznie prując fale i powietrze, przemknęła żaglowa łódka; mężczyzna, siedzący przy sterze, patrzył na Nadieżdę i było jej przyjemnie, że patrzy...

Po kąpieli panie ubrały się i wyszły razem.

– Co drugie dzień mam gorączkę, a mimo to nie chudnę – mówiła Nadieżda, oblizując słone po kąpieli wargi i odpowiadając uśmiechem na ukłony znajomych. – Nigdy nie byłam szczupłą, a teraz, zdaje się, jeszcze utylam.

– To, moja droga, zależy od skłonności. Jeżeli ktoś nie jest skłonny do tycia, jak na przykład ja, to żadne jedzenie nie pomoże. Ale, moja droga, pani kapelusz jest zupełnie mokry.

– Nie szkodzi, wyschnie.

Nadieżda znów zobaczyła biało ubranych ludzi, którzy chodzili po nabrzeżu i rozmawiali po francusku; nie wiadomo czemu jej pierś znowu drgnęła radośnie, a w pamięci niewyraźnie zarysowała się jakaś wielka sala, w której kiedyś tańczyła, a może tylko widziała to we śnie. I jakiś głos mówił jej w głębi duszy, że jest płytką, wulgarną, nędzną, nikczemną kobietą.

Bitiugowa zatrzymała się przed swoją bramą i poprosiła Nadieżdę, żeby wstąpiła do niej choć na chwilę.

– Moja najmilsza, bardzo panią proszę! – powiedziała błagalnym tonem i równocześnie spojrzała na Nadieżdę z niepokojem i nadzieją: może, Bóg da, odmówi!

– Z przyjemnością – oświadczyła Nadieżda. – Pani wie, jak chętnie bywam u pani!

I weszła do domu. Maria Konstantinowna usadowiła ją na fotelu, podała kawę, poczęstowała maślanymi bułeczkami, potem pokazała jej fotografie swoich dawnych wychowanek, panien Garatyńskich, które już powychodziły za mąż, pokazała także cenzurki Kati i Kosti;

stopnie były bardzo dobre, ale by wydały się jeszcze lepsze, zaczęła się uskarżać, jak trudno jest teraz w gimnazjum... Maria Konstantinowna dogadzała gościowi jak mogła, a litując się szczerze nad młodą kobietą równocześnie czuła obawę, że obecność Nadieźdy Fiodorowny może źle wpłynąć na moralność Kati i Kosti, i pomimo wszystko była zadowolona, że Nikodima Aleksandrycza nie ma w domu. Ponieważ jej zdaniem mężczyźni na ogół lubią „takie osoby”, Nadieźda Fiodorowna mogła wpłynąć demoralizująco również i na Nikodima Aleksandrycza.

Gawędząc z gościem Bitiugowa przez cały czas myślała, że dziś wieczorem ma się odbyć wycieczka za miasto i że von Koren stanowczo prosił o niezapraszanie makak, czyli Łajewskiego i Nadieźdy, ale przypadkiem napomknęła o wycieczce, splonęła rumieńcem i wyjąkała niepewnie:

– Mam nadzieję, że i państwo też będziecie!

## VI

Uczestnicy wycieczki umówili się, że wyjadą za miasto o siedem wiorst drogą prowadzącą na południe, zatrzymają się koło tatarskiego duchanu, przy zbiegu dwóch rzeczek – Czarnej i Żółtej – i będą tam gotować zupełną rybą. Wyruszyli zaraz po piątej. Na czele jechali kabrioletem Samojlenko i Łajewski, za nimi powozem w trójkę koni Bitiugowa, Nadieźda, Katia i Kostia; wieźli ze sobą kosz z prowiantem i naczynia. W drugim powozie jechali przystaw Kirilin i młody Aczmijanow, syn tego kupca Aczmijanowa, któremu Nadieźda była winna trzysta rubli, a na ławeczce naprzeciwko nich, garbiąc się i podkurczając nogi, siedział Nikodim Aleksandrycz Bitiugow – malutki, schludniutki, z włosami zaczesanymi na skronie. W tyle za wszystkimi jechali von Koren i diakon; u nóg diakona stał kosz z rybami.

– Na prawo! – wrzeszczał co głosu Samojlenko, gdy mijał ich dwukołowy wóz albo Abchaczyc na osle.

– Za dwa lata, kiedy już będę miał gotowe wszystko – i środki, i ludzi – pojedę na ekspedycję – mówił diakonowi von Koren. – Pójdę wybrzeżem od Władywostoku do Zatoki Beringa, a później od zatoki do ujścia Jenisieju. Narysujemy mapę, zbadamy faunę i florę, gruntownie zajmiemy się geologią i badaniami antropologicznymi i etnograficznymi. Od pana zależy, czy pójdzie pan ze mną czy nie.

– To niemożliwe – odparł diakon.

– Dlaczego?

– Nie jestem człowiekiem niezależnym, mam rodzinę.

– Diakonica pana puści. Zabezpieczymy ją. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby ją pan przekonał, że dla dobra sprawy powinna wstąpić do klasztoru; wtedy pan również mógłby zostać mnichem i pojechać na ekspedycję jako ojciec duchowny. Mogę to panu załatwić.

Diakon milczał.

– Czy pan dobrze się zna na swojej teologii? – zapytał zoolog.

– Nienadzwyczajnie.

– Hm. Nie mogę dać panu żadnych wskazówek w tej dziedzinie, ponieważ w teologii sam jestem słabo zorientowany. Proszę mi podać spis książek, które są panu potrzebne, prześlę je w zimie z Petersburga. Powinien pan także przeczytać pamiętniki podróżujących duchownych; wśród nich nieraz trafiają się dobrzy etnologowie i znawcy języków wschodnich. Kiedy pan pozna ich metody, będzie panu łatwiej zabrać się do pracy. Ale zanim nadejdą książki, nie należy tracić czasu, niech pan przyjdzie do mnie, zapoznamy się z kompasem, zajmiemy się meteorologią. To wszystko jest niezbędne.

– Niby tak... – mruknął diakon i zaśmiał się. – Robię starania o posadę w centralnej Rosji i mój wujaszek protojeriej przyrzekł mi poparcie. Jeżeli pojedę z panem, to będzie wyglądało, że niepotrzebnie robię ludziom subiekcję.

– Nie rozumiem pańskich wahań. Pełniąc nadal obowiązki zwykłego diakona, który ma służbę tylko w niedzielę i święta, w pozostałe dni spoczywa na laurach, pan i za dziesięć lat będzie taki sam jak dzisiaj, najwyżej wyrosną panu wąsy i broda, natomiast po powrocie z ekspedycji pan po upływie tych samych dziesięciu lat będzie zupełnie innym człowiekiem, bo wzbogaconym o świadomość, że coś niecoś zrobił.

Z damskiego powozu doleciały okrzyki przerażenia i zachwytu. Powozy jechały drogą wyrytą w zupełnie prostopadłym skalistym brzegu i całemu towarzystwu zdawało się, że pędzi wzdłuż półki przymocowanej do wysokiej ściany i że powozy zaraz spadną do przepaści.

Z prawej strony rozpościerało się morze, z lewej sterczała nierówna brunatna ściana pełna czarnych plam, czerwonych żył i pnących się korzenisk, a z góry spoglądały jakby ze strachem i ciekawością pochylone kudłate choiny. Po chwili znowu pisk i śmiech; trzeba było przejechać pod olbrzymim zwisającym kamieniem.

– Nie rozumiem, po kiego diabła jadę z wami – powiedział Łajewski. – Jakie to głupie i trywialne! Powinienem wynieść się na północ, uciekać, ratować się, a ja nie wiadomo po co jadę na tę idiotyczną wycieczkę.

– Spójrz lepiej, jaka panorama! – powiedział Samojlenko, kiedy konie skreśliły na lewo i odsłonił się widok na dolinę Żółtej Rzeki, potem błysnęła rzeczka, żółta, mętna, wariacka...

– Nic pięknego w tym nie widzę, Sasza – odparł Łajewski. – Wieczne zachwyty nad przyrodą demaskują ubóstwo wyobraźni. W porównaniu z tym, co mi może dać moja wyobraźnia, te wszystkie strumyki i skały to po prostu lichota.

Powozy jechały już brzegiem rzeczki. Wysokie, górzyste brzegi stopniowo zbliżały się ku sobie, dolina zwężała się i coraz bardziej przypominała wąwóz; kamienistą górę, koło której jechano, matka przyroda skleciła z olbrzymich głazów, przygniatających jeden drugiego z tak potworną siłą, że patrząc na nie Samojlenko mimo woli stęknął. Pośepną i piękną górę miejscami przecinały wąskie szczeliny i żleby, z których wionęło zapachem wilgoci i tajemniczością; poprzez żleby widać było inne góry – brunatne, różowe, fioletowe, zamglone lub skąpane w jaskrawym świetle. Czasem, gdy mijano żleby, słysząc było, jak gdzieś z wysoka spada woda i pluszcze o kamienie.

– Ach, te przekłete góry! – wzdychał Łajewski. – Jak one mi obrzydły!

W tym miejscu, gdzie Czarna Rzekka wpadała do Żółtej i czarna, podobna do atramentu woda brudziła żółtą, tocząc z nią walkę, stała opodal drogi karczma Tatarów Kierbałaja z rosyjską flagą na dachu, z szyldem wypisanym kredą: „Przyjemny duchan”; obok był niewielki ogródek okolony płotem, gdzie stały ławki i stoły, a wśród nędznych krzaków kolczastych wznosił się jeden cyprys – piękny i ciemny.

Kierbałaj, mały, zwinny Tatar w granatowej koszuli i białym fartuchu, stał na drodze i trzymając się za brzuch witał niskimi ukłonami nadjeżdżające powozy, a śmiejąc się, wystawiał na wierzch wszystkie swoje białe, lśniące zęby.

– Dzień dobry, Kierbałajku! – zawołał Samojlenko. – Odjedziemy trochę dalej, podasz tam samowar i krzesła. Szybko!

Kierbałaj kiwał ostrzyżoną głową i coś mamrotał, ale tylko ci, co siedzieli w ostatnim powozie, dosłyszeli: „Mamy pstrągi, wasza ekscelencjo”.

– Dawaj, dawaj! – powiedział mu von Koren.

Powozy odjechały o pięćset kroków i zatrzymały się. Samojlenko wypatrzył niewielką polankę, gdzie leżało sporo rozrzuconych tu i ówdzie kamieni wygodnych do siedzenia i obalone przez burzę drzewo z wywróconym włośchatym korzeniskiem, z wyschniętymi żółtymi igłami. Brzegi rzeczki wiązał rzadziutki most z belek, a po drugiej stronie, akurat naprzeciw, wznosiła się na czterech niewysokich palach mała szopa – suszarnia kukurydzy

przypominająca baśniową chatkę na kurzych nóżkach; od jej drzwi prowadziła w dół drabinka.

Pierwsze wrażenie zebranych było takie, że już nigdy się stąd nie wydostaną. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, piętrzyły się i nawisały góry, od strony duchanu i ciemnego cyprysu szybko sunął wieczorny cień i dzięki temu wąska, zakrzywiona dolina Czarnej Rzeczek stała się jeszcze węższa, a góry wyższe. Słychać było, jak szemrała woda i bez przerwy terkotały cykady.

– Uroczo! – oznajmiła Bitiugowa wydając serię entuzjastycznych westchnień. – Dzieci, spójrzcie, jak pięknie! Jaka cisza!

– Tak, rzeczywiście pięknie – przytaknął Łajewski, któremu spodobał się widok; gdy spojrział na niebo i na granatowy dymek, wylatujący z komina karczmy, zrobiło mu się jakoś smutno. – Tak, pięknie! – powtórzył.

– Niech pan opisz ten widok, Iwanie Andrieiczu! – rzekła łzawo Maria Konstantinowna.

– Po co? – zapytał Łajewski. – Wrażenie jest piękniejsze nad jakikolwiek opis. Całe bogactwo barw i dźwięków, które każdy człowiek odbiera od przyrody drogą wrażenia, pisarze przekazują w sposób tak gadatliwy i szpetny, że nie poznasz...

– Czyżby? – rzucił zimno von Koren, który upatrzył sobie największy kamień u wody i próbował wdrapać się na niego i usiąść. – Czyżby? – powtórzył patrząc Łajewskiemu prosto w oczy. – A Romeo i Julia? A na przykład ukraińska noc Puszkina? Przyroda powinna przyjść i w pas się pokłonić.

– Może... – zgodził się Łajewski, któremu nie chciało się myśleć i sprzeczać. – Zresztą – dodał po chwili – czym jest w gruncie rzeczy historia Romea i Julii? Piękna, romantyczna, czysta miłość to tylko róże, którymi się usiłuje zasłonić bagno. Romeo to takie samo zwierzę jak wszyscy.

– O czymkolwiek się z panem rozmawia, pan sprowadza wszystko do...

Von Koren spojrział na Katię i nie dokończył zdania.

– Do czego? – zapytał Łajewski.

– Ktoś panu na przykład powie: „Jak piękne jest grono winne!”, a pan na to: „Owszem, ale jakie ono brzydkie, kiedy się je zjada i przetrawia”. Po co to mówić? Nic nowego i... w ogóle jakieś dziwne nastawienie.

Łajewski wiedział, że von Koren go nie lubi, i dlatego bał się go i w jego obecności czuł się tak skrępowany, jakby tu wszystkim było za ciasno, jakby ktoś wciąż czaił się za plecami. Bez słowa więc odszedł na bok, żalując, że w ogóle pojechał.

– Proszę państwa, idziemy po chrust na ognisko! – zarządził Samojlenko.

Wszyscy rozeszli się w różne strony z wyjątkiem Kirilina, Aczmijanowa i Bitiugowa. Kierbałaj przyniósł krzesła, rozłożył na ziemi dywan i podał kilka butelek wina. Prystaw Kirilin – wysoki, okazały mężczyzna, który bez względu na pogodę zawsze chodził w płaszczu włożonym na mundur – z dumnej postawy, statecznego chodu i niskiego, nieco zachrypniętego głosu przypominał prowincjonalnych policmajstrów młodego pokolenia. Wyraz twarzy miał senny i smutny, jakby go dopiero co obudzono wbrew jego woli.

– Coś ty przyniósł, bydlaku? – zapytał Kierbałaja cedząc każde słowo. – Kazałem ci podać kwareli, a ty co przynosisz, tatarska mordo? Co?

– Mamy ze sobą dużo wina, Jegorze Aleksieiczu – zauważył nieśmiało i grzecznie Nikodim Aleksandrycz.

– Słucham? Ależ ja chcę, żeby tu było i moje wino. Uczestniczę w tej wycieczce i uważam, że mam prawo dołożyć się do poczęstunku. U-wa-zam! Daj dziesięć butelek kwareli.

– Po co aż tyle? – zdziwił się Bitiugow, który wiedział, że Kirilin nie ma pieniędzy.

– Dwadzieścia butelek! Trzydzieści! – krzyknął Kirilin.

– Nie szkodzi! – szepnęła Aczmijanowa do Bitiugowa. – Ja zapłacę.